

Wierzgnięcie było konieczne

Rozmowa z aktorką **Joanną Szczepkowską**, autorką książki „4 czerwca”

KATARZYNA JANOWSKA: – Czy pani jest bardzo mądra, czy bardzo głupia?

JOANNA SZCZEPKOWSKA: – Nie wiem. Ale takie pytanie zadał mi kiedyś przechodzień i tak się zaczyna moja książka.

Po tym, jak pani w słynnym wystąpieniu telewizyjnym zakończyła komunizm w Polsce?

Tak. O ile pamiętam, kilka dni potem chyba Urban napisał, że mam ćwierć mózgu. Potem ktoś mu odpowiedział, że mam cały mózg. Dyskusja na temat wielkości mojego mózgu trwa zdaje się do dzisiaj.

Właściwie dlaczego pani to powiedziała?

Bo chciałam to usłyszeć. Oczywiście coś takiego mógł powiedzieć Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek czy Jacek Kuroń, ale nie powiedzieli. Uważałam, że to skandal, że się nie ucieszyliśmy z wolności. Tyle było przez lata palenia świeczek, pieśni, modlitw, a kiedy wreszcie wygraliśmy wybory, nie wystrzelił szampan, nikt nie powiedział głośno, że jesteśmy w innej rzeczywistości. I w ten sposób mentalnie żyliśmy cały czas w tamtej. Małgorzata Musierowicz w jednej z książek nazwała moje wystąpienie wierzgnięciem. Myślę, że wierzgnięcie było konieczne.

Przyszła pani do studia na plac

Powstańców i okazało się, że rozmowa z panią nie będzie na żywo.

Uszło powietrze? Mogła pani mieć pewność, że tego zdania nie puszczą.

I miałam. Wszystko wtedy jeszcze przecież było kontrolowane, nie było programów na żywo, ale pomyślałam: trudno. Zostanie anegdota. Będą o tym opowiadać kamerzyści, świadkowie. Telewizja nagra rozmowę ze mną i może potem kaseta będzie krążyć wśród znajomych. Uznałam, że dobre i to.

Ale puścili.

Puścili. Z prostego powodu. Komunizm naprawdę się skończył. Znacznie gorzej dla nich by było, gdyby tego nie puścili. A tak to honorowo strzelili wal-kowera.

To wtedy ciągle byli „oni”?

Oczywiście. Przecież to było raptem parę miesięcy po wyborach 4 czerwca. W telewizji pracowali jeszcze ludzie poprzedniego systemu; tak naprawdę, póki mieli ten budynek, mieli władzę. Telewizyjna władza to jest zresztą problem, który nie skończył się razem z komunizmem. Przez cały wywiad kombi-



JOANNA SZCZEPKOWSKA

Joanna Szczepkow-

ska, aktorka teatralna i filmowa. W czasie studiów zadebiutowała w teatrze telewizji („Trzy siostry”), gdzie później stworzyła wiele kreacji. Od połowy lat 70. aktorka warszawskiego Teatru Współczesnego, potem Teatru Polskiego i Powszechnego. Stworzyła wybitne kreacje dramatyczne (m.in. w „Romeo i Julii” i „Królu Learze”) oraz komediowe („Śluby panieńskie”, „Wesołe kumoszki z Windsoru”). Zagrała w wielu filmach, m.in. „Cudzoziemce”, „Matce Królów”, „Kronice wypadków miłosnych”. Jest felietonistką „Wysokich Obcasów”. Obecnie pracuje nad cyklem reportaży i nową powieścią. Zagra Simon Weil w spektaklu w reż. Krysztofa Lupy w Teatrze Dramatycznym.

nowałam, w którym momencie to powiedzieć. Zostało kilkanaście sekund do końca i dziennikarka zapytała mnie, jakie mam plany. To była ostatnia szansa. Powiedziałam, że chciałabym być na pani miejscu. I co by pani wtedy zrobiła – padło pytanie. I ja wtedy swoje: Proszę państwa, 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm. Dziennikarka oniemiała. Po czym poproszono mnie o powtórzenie nagrania. Więc nagrałyśmy całość po raz drugi. Myślę, że redaktorzy liczyli, że rozmowa potoczy się w innym kierunku. Ale ja znowu powtórzyłam swoje. Cała ta sytuacja, fakt, że to nie było na żywo, że powtarzałam dwa razy, była przedłużeniem surrealizmu komuny.

Co było potem?

W studiu zapanowała cisza, jakiej nie zapomnę do końca życia. Jeden z operatorów wybuchnął śmiechem. Odpadł od kamery. Wsiadłam do windy, a ze mną dziennikarka, która prowadziła rozmowę.

Była bardzo zdenerwowana, zaczęła krzyczeć, czy zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Była naprawdę przerażona. Zresztą chyba z tego powodu straciła później pracę.

Postanowiłam pójść do domu piechotą. Widziałam, że w oknach palą się światła. Myślałam: ci ludzie mogli coś zobaczyć, ale nie zobaczyli. Dotarłam do domu, otworzyłam drzwi, a tam ogród. Moi sąsiedzi, głównie starsi ludzie, przynieśli mi kwiaty doniczkowe, które mieli w swoich mieszkaniach. Wtedy zrozumiałam, że rozmowa poszła jednak w „Dzienniku Telewizyjnym”. Rozdzwoniły się telefony, odebrałam mnóstwo fantastycznych głosów. Następnego dnia idę Krakowskim Przedmieściem i nagle na uniwersytecie widzę ogromny transparent z napisem: „Joanna Szczepkowska nie żyje!”. Tak to przeczytałam w pierwszym momencie, „ch” ze zdenerwowania gdzieś mi się zgubiło.

Chcąc nie chcąc, stała się pani symbolem nowego początku. Niemcy mieli upadek muru berlińskiego, a my Szczepkowską w telewizji.

Na to wyszło, ale zawsze powtarzam, że nie zrobiłam nic na taką miarę jak ludzie, którzy poświęcili tej sprawie całe swoje życie. Chociaż walka o miejsce w historii jest zdaje się tak silna jak walka polityczna. Dwaj znani historycy zajmujący się Polską – Norman Davies i Timothy Ash – opisali tę historię jako „odczytanie odezwy przez znaną aktorkę”. Ktoś im to musiał tak opowiedzieć i po coś to zrobić. Rozmawiałam z Ashem, chce to zmienić, ale jak tego nie zrobi, świat się nie zawali. To tylko dowód ludzkiej małości. Ja inwestuję w przyszłość po swojemu.

Bycie symbolem zobowiązuje?

Siłą rzeczy stałam się komentatorką publicznego i politycznego życia – ciągle jestem o coś pytana przez media. Oczywiście, mogę uciec od tego, wymówić się „artystyczną duszą”, ale mam takie poczucie, że uczestnictwo w życiu kraju jest naszym długiem wobec tego, co się wydarzyło. Ja jestem z tej formacji, którą kształtowały idee Jacka Kuronia i marzenia o państwie obywatelskim. Chciałabym przejawy takiego państwa zobaczyć w naszym kraju. Dlatego nie jestem obojętna.

Symbole, rocznice patriotyczne są dla pani ważne? Z książki wiem, że co roku świętuje pani 1 maja.

No tak. Urodziłam się tego dnia. A tak na serio, ciągle ważna jest dla mnie rocznica Powstania Warszawskiego. Mam takie poczucie, jakby to było niedawno. Czuję, że młodzi ludzie, którzy zginęli w powstaniu, są jakoś obecni. A powstanie stało się teraz przyczynkiem do sporu o sens takich zrywów, a może nawet o sens odwagi. Ona wygląda inaczej, kiedy dotyczy szeregowego pracownika korporacji w wolnym kraju. Ale to też odwaga, kompromis albo uległość. I powstanie jest ciągle jeszcze takim memento dla młodych.

Za pani książki wylania się obraz PRL jako świata pękniętego na to, co publiczne i prywatne. Pani ojciec, dyrektor teatru, po którego przyjeździe rządowy samochód, w domu słucha Wolnej Europy. Pani z jednej strony gra z powodzeniem w spektaklach teatru telewizyj, z drugiej w mieszkaniu aktorki Haliny Mikołajskiej, którą władze skazały na niebyt w najlepszym zawodowym okresie, spotyka się pani z Kuroniem, Michnikiem, Geremkiem. Nie miała pani rozdrowienia jaźni?

Miałam. Nagrywałam w teatrze telewizji kolejny ważny spektakl i zastanawiałam się: co ja tu robię? W tym samym czasie moi znajomi spotykają się

na podziemnych kompletach z Marianną Brandyssem. A po paru tygodniach Brandys do mnie zadzwonił i gratulował świetnej roli. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że moje granie ma wartość, że nie jest niczym nagannym. Przecież równocześnie podpisywałam listy za uwolnieniem aresztowanych, co było wtedy naprawdę niebezpieczne. Liczyłam się z tym, że mogę dostać zakaz grania albo że coś gorszego może mnie spotkać. Ale nie miałam wątpliwości, że tak trzeba się zachować.

Opisuje pani w książce próbę samobójczą Haliny Mikołajskiej.

Halina się załamała po tym, jak do jej mieszkania wtargnęli tzw. radomianie, oczywiście byli to funkcjonariusze UB, którzy wyzwalali ją od najgorszych. Przy jej wrażliwości było to nie do zniesienia. Zdała sobie sprawę z siły, jaką dysponują jej prześladowcy.

Przywołuje pani sytuację, gdy szła do znanego reżysera po podpis pod listem protestacyjnym i nagle zobaczyła pani jego strach.

Czułam się okropnie. Nigdy potem nie poszłam do nikogo z propozycją podpisania takiego listu. Ten człowiek próbował się wykręcić. Nie mógł znaleźć długopisu, więc podałam mu swój. W końcu pękł, rozsypał się na moich oczach. Powiedział, że się boi. Ja byłam młoda, a on się spowiadał przede mną. Koszmar.

Motto do książki zaczerpnęła pani z wiersza Jesienina: „Narybek co w sieci pobywał już nie jest prawdziwym narybkiem. I coś martwego się słyszy w jego plunięciu nieszybkim”. Kiedy pani po raz pierwszy poczuła, że jest w sieci?

Podczas pierwszego wyjazdu do Francji. Polecałam tam jako studentka na złot młodziźnie. I nagle okazało się, że przyjeżdżałam z innej epoki – wszystko, od pojemnika na jogurt po zachowanie ludzi na ulicach, było obce, trudne, „lepsze”. Szczególnie ostro zobaczyłam to w czasie imprezy, którą opisuję w książce. Ja w balowej sukni ze srebrną nitką, kupionej przez mamę za ciężkie pieniądze w komisie, a tam rozszalała młodzież w dżinsach i podkoszulkach. I to ich wyluzowanie...

Spontanizacji uczyła się pani na słynnych „Dziadach” Dejmk.

Tak to pamiętam. Publiczność była tak rozemocjonowana jak tamta młodzież na balu. To było coś zupełnie nowego. Ja chodziłam na każdy spektakl i uczyłam się z krzyku, radości, emocji.

Ogromne wrażenie zrobiła na mnie historia, która zdarzyła się podczas kilku dni, które spędziła pani z rodzicami na Mazurach w rządowym ośrodku jako córka ważnej osoby. Pani ojciec był wtedy przewodniczą-

cym Związków Zawodowych Kultury i Sztuki.

I siłą rzeczy należał do Centralnej Rady Związków Zawodowych. Przyznam się, że napisałam tę książkę między innymi dlatego, żeby gdzieś opowiedzieć tę historię. Rodzice poszli na ognisko, gdzie bawili się urzędnicy CRZZ, a ja zostałam w pokoju. Słyszałam te śpiewy i pijane krzyki, a przez okno widziałam, że nad ogniskiem coś przelatuje. Wyglądało to, jakby nad ogniem fruwały błyszczące ptaki. Nagle do pokoju wpadła mama z krzykiem: Te świnię wrzucają do ogniska żywe węgorze! Tak było.

W książce rysuje się różnica między pani rodzicami. Matka, Roma Szczepkowska, zaprzyjaźniona z ks. Popiełuszką, była radykalnie antykomunistyczna, ojciec natomiast był bardziej skłonny do kompromisu.

Uważam, że trzeba mówić prawdę, nawet jeśli jest ona niewygodna. Tylko wtedy poznamy prawdziwy obraz tego, jak ustrój totalitarny kształtował charakter. Przecież autocenzura dotyczyła obu stron barykady. Jeśli władza jakieś wydarzenie polityczne czy historyczne negowała, to natychmiast stawało się ono świętością dla ludzi nastawionych opozycyjnie. W książce opisuję moją rozmowę z powstańcem warszawskim, który na ucho szepnął mi, że powstanie nie miało sensu. Ale nie mógł tego głośno powiedzieć wśród przyjaciół, bo uznaliby go za ubekę.

A pani mama jaka była?

Nieprzejeđnana. Uważała, że wojna się nie skończyła, że jesteśmy pod sowiecką okupacją, że zbyt łatwo przeszliśmy do porządku dziennego nad tym, że w Polsce stacjonują wojska sowieckie. Ciągle mi o tym przypominała, czemu z kolei sprzeciwiał się mój ojciec, który uważał, że nie jest to dobre dla rozwoju dziecka. Nie stałam się, co prawda, z tego powodu bardziej nerwowa, ale na pewno żyłam ze świadomością, że rzeczywistość jest schizofreniczna. Że są prawdy oficjalne i nieoficjalne. Dziś muszę się codziennie uczyć, że nie ma takiego podziału. Kiedy rozmawiam z wysoko postawionym urzędnikiem, muszę sobie przypominać, że to jest ktoś, od kogo mogę wymagać. Niestety, po komunie został nam brak zaufania do wszelkich instytucji i takie machanie ręką, że nie warto się angażować, wymagać czegoś od władzy.

Miałaby pani dziś ochotę wygłosić do rodaków jakieś zdanie?

Nie. Wtedy zrobiłam coś, czego nie było wolno. Dziś można powiedzieć wszystko. I mówi się – za dużo, za głośno, za szybko.

Wymowniej byłoby pomilczeć przed kamerami?

Tak, ale tego pewnie by nie puścili.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA JANOWSKA